ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV Warszawa, dnia 11 lutego 1922 roku. № 6

Juljusz German. Powieść.

TWARZ Z ZA KURTYNY.

— Niech zawisnę na stryczku, jeżelim kiedykolwiek widział cię, grubasie— pomyślał Bronicz, składając ukłon głęboki.

— Pan ma istotnie tak miły uśmiech, że nawet obcym wydaje się pan znajomy—rzekła ze sztuczną nieco swobodą, maskując nią wdzięczny przestrach zaskoczenia. Uczuł przelotny lecz wyraźny uścisk palców, które do ust podnosił. Widział, jak wypukłe, ciężkie piersi zafalowały przyspieszonym oddechem.

— I to wszystko nie dla mnie, lecz dla znanego Ryszarda Bronicza — przemknęła się dokuczliwem żądłem myśl czujna.

Rozlewna uprzejmość owijała gładko głos Podolanina:

— Jakże mi przykro, że dopiero teraz był pan łaskaw przypomnieć sobie... Żałujemy oboje. Interesujący, rozkoszny mógł być wieczór. Tyle o panu słyszałem. I tyleby znalazło się tematów. Mam duży majątek na kresach, ale tysiąc spraw trzyma mnie w tej Warszawie kochanej. Jaka szkoda, że tak późno... Chyba, że...

Zwrócił się do Bronicza z wahaniem,

Ten osadził go w miejscu zimnym połyskiem oczu.

— I ja niestety wychodzę. Powetuję to sobie jednak stokrotnie.

— Ależ rozumie się—stropił się grubawy pan. — Oto nasz adres. Niezmiernie, ogromnie cieszyć się będziemy. Przyniosę ci zaraz płaszcz, Mela. Gdzież ja podziałem ten numer z garderoby?

Zaledwie oddalił się o kilka kroków, Bronicz zapytał szorstko, nie przestając uśmiechać się ani na chwilę:

— Czego pani odemnie chciała? Dlaczego pani tak na mnie patrzyła?

— Bo mi się tak podobało — próbowała uderzyć niepewnie w hardy ton, urażona. — Proszę nie mówić do mnie takim niedobrym głosem — szepnęła już ze skargą powolną, bo hardość prysła pod jego wzrokiem, jak bańka ze szkła.—Cóż w tem złego, może mi pan się podobał?

— Nie wie pani jeszcze dokładnie? O, to się musimy dowiedzieć. Proszę zatelefonować do mnie jutro rano do biura. Umówimy się. Mam willę na drodze do Konstancina. Dosyć ładna. Pokażę ją pani.

— Jak pan śmie? Co za bezczelność,.. Mój mąż..,

— Więc po co było to patrzenie? To sprawa nas dwojga. Męża pani nie potrzebuję zupełnie.

— Jest bardzo zazdrosny...

— Zazdrosny? Dam mu czek. Niech gra. Napisane ma na czole, że zgrywa się w karty.

— Pan jest straszny człowiek... Ja nie wiem poprostu... Pierwszy raz ktoś do mnie w ten sposób.,. Czy to tak można? Dlatego tylko, że ma się tyle pieniędzy?—szeptała gniewnie i bezradnie.

— Niech mi pan prędko powie coś przyjemnego, czułego — poprosiła nagle, zbliżając ku niemu twarz. Atłasowy żar ust i oczu zaświecił wilgotnie.

— Wieje od pani miłością w letnią księżycową noc — rzekł, nie starając się wcale skrywać szyderstwa, dźwięczącego w tych słowach, łagodząc je tylko uśmiechem.

— Nie śmiać się — powiedziała cicho. — To są rzeczy poważne...

Rozrosły Podolanin nadchodził z płaszczem.

— Więc spodziewamy się w najbliższych dniach?..

— Jeżeli tylko pani zgodzi się łaskawie — rzekł z naciskiem.

— Jakże, Mela? Prosiłaś przecie pana...

— Pan Bronicz wie, że bardzo mu radzi będziemy.

Owinęła się w płaszcz niecierpliwym, trochę majestatycznym gestem.

Wyszli przed hotel. Sylwety ich zamajaczyły ostro i ciemno w oparach mgły zasnuwającej gęsto ulice. Obfito ujęta sutą bekieszą postać mężczyzny, jego twarz odęta magnackim grymasem i zachłanne a czasem błędnie uniżone oczy wydały się Broniczowi nagle nieznośne. Zdjął kapelusz.

— Muszę pożegnać państwa. Cieszę się bardzo z odnowienia znajomości...

— Czy nie idziemy w jedną stronę? — zawołał Podolanin z ożywieniem. — My tu niedaleko, na Mazowiecką...

— Mieszkam daleko za miastem...

Ręka wysokiej, czarnowłosej kobiety zadrżała w jego dłoni, wysunęła się z niej powoli, ociężale. Zamigotał błysk spojrzenia, jak głęboka, szklisto czarna toń cichej wody, która niespodziewanie zaświeciła wśród drzew lasu. W te, jakgdyby martwe oczy wdarł się wzrok Bronicza, wysunięty tnącem zapytaniem z pod zmarszczonych sekundowo brwi. Usta jej drgnęły niedostrzegalnem prawie tchnieniem półszeptu: „Dobrze".

Patrzył za odchodzącą. Odwróciła głowę i zarys jej lic wydał mu się jakby zawieszony w powietrzu, wypływający sennem widziadłem z tła opalowo sinej mgły, w poświacie srebrnawej tajemnicy.

— Tak—pomyślał, wsiadając do samochodu, — przecież to odrębne istnienie ludzkie, ognisko tysiąca promieni, cały osobny wielki świat, o który wolą zaczepiłem po drodze. Chciałem i wziąłem go w mój krąg. A to wszystko dlatego, żeby rój nieistniejących dotąd dla mnie myśli obcej istoty szedł za mną, za mną, zarzucał sieć splotów ślepą tęsknotą grających. Żebym to czuł. Powiedziała coś o rzeczach ważnych... Może to jest daleko ważniejsze, niż jej cudze, duże ciało, które poznam jutro. A przecież ładna jest, ładna — powtórzył, jakby wmawiając w sie-

bie uparcie pojęcie nieokreślone, które rozwiewało się jak mgła, rozrzucana jarzącemi ogniami lamp, prujących mrok bezlitośnie.

Samochód gnał przez puste ulice w głuchym, monotonnie zjadliwym szumie, w zawzięcie potwornej obojętności obłąkańczego pędu, wystrzałami przeciągłych wrzasków tuby waląc nienawistnie w ciszę.

Wśród ciemnej gęstwy parku błysnęły przelotnie czuwające posępnie światła w oknach Belwederu i dwa bagnety szyldwachów przy kracie bramy.

Józek, skulony obok szofera, uniósł się żywo i ręką przyjaźnie machnął ku żołnierzom.

Już znowu wyszczerzyły się mroczną jamą ciemnie drzew i murów i cofały się przed błyskawicami rwących naprzód świateł, rozstrzelonych w snopy przejrzyste, zamykając się za niemi groźniejszą czarnością.

Bronicz przymknął oczy.

Zwidziało mu się, jak nieraz w czasie tych jazd szybkością zawrotnych, że spieszy się w jakiś kraj potężnej i prawdziwej bajki. Przypomniały mu się żywym dźwiękiem słowa Lili, która w tylu nocach tą samą drogą z nim jechała:

„Pędzić tak, pędzić niewiadomo gdzie i cieszyć się, że cel nieznany, że w tym pędzie chwila obecna z przyszłą w jedno się zlewa".

Jak dziecko do bajki, wyciągała radosne ręce do życia.

Ma w oczach ten gest jej zuchwały i słodki, w którym rzuca się z jasną, szczerą ochotą w nieznane.

Oto stoi na mokotowskiem polu w rzeźwy, wiosenny dzień, pachnący pierwiosnkami i rolą świeżo zoraną. Lekko w biodrach się kołysząc, porusza się śmiało w sportowym, męskim kostjumie, z pod dużego, wciśniętego na uszy i czoło beretu wygląda jej dziecinnie swawolna twarz ślicznego łobuza. I klaszcze w ręce: „Pierwsza z Warszawianek polecę samolotem!" On przy niej, trochę niespokojny, dumny z niej, odwagą jej ucieszony. „Boisz się, Ryś? Pokłonię się od ciebie świętemu Piotrowi, powiem ci, jak tam w niebie urządzone. A jak ci zlecę na głowę, to pamiętaj, że mnie tam nie chcieli". Już siedzi obok lotnika, już zadygotał motor, już, sunąc chyżo po polu, odbił się aeroplan od ziemi swobodnie, uniósł się, jak jętka olbrzymia, uleciał zataczając kręgi coraz szersze. Już tylko terkot śruby, obracającej się w szalonym wirze, echem wzgardliwem spada ku nim, do stałego gruntu ciężko przylepionym. „Tam w górze Lili malutka". Wraca, wyskakuje zgrabnie z podłużnego kadłuba powietrznej łodzi, cała w różowych światłach, ze śmiejącemi, kryształowo jasnemi oczami: „Rozkosznie, ale za mało— jak wszystkiego, co dobre! Dziwne to: ziemia ucieka w dół, a niebo w górę! Nie mogłam dolecieć, ale już ze mnie chyba pół-aniołek!"

Świetliste smugi wrzynają się jednostajnie ostrym, gładko uciętym blaskiem w mrok, który rozszerza się, rośnie w obie strony. Z pędem samochodu ściga się już wiew od pustych pól. Migają czerwone, samotne światełka w oknach ostatnich przedmiejskich domków i gasną echem kolorowej wieści o życiu ukrytem, o istnieniach, co będą na zawsze dalekie.

I gdy Bronicz znów oczy zasłonił powiekami, widzi uśmiechniętą twarz Lili, przelatującą obok w rozstrzępionych zwojach mroku wraz z cieniami opuszczonych domków, widzi, jak ten uśmiech do bajki odważnie tęskniący rozwiewa się, blednie...

— Ależ ja myślę o niej, jakby już nie żyła—wstrząsnął się dreszczem gwałtownego oburzenia na kogoś w sobie, który z podstępnym wzrokiem czyhał niespokojnie.

— Żyje, jest tam w mieście i myśli o innym—odrzucił swobodnie duszące pęta niepokoju. I już rozegnał je precz uśmiechem pobłażliwym, dumną życzliwością łagodnym: „O cóż chodzi? Przecież nigdy nie miałem stosunku z kobietą, któraby mnie nie zdradziła".

— Wolę, żeby na zawsze była daleko, a żeby wciąż istniała—szepnął pozdrawiając radośnie błysk myśli, który w czarnej głębi nieznanej tajnie zaświecił.

Przed zasłoną przymkniętych powiek przesuwają się mgliste twarze, w bladych kolorach wpółsennie wykwitłe. Czarne spojrzenie Ukrainki jak martwo błyszcząca toń. „Śmieszne, ciągle te twarze bez ciał..." I wśród tych wszystkich lic widzianych kiedyś żywemi oczami dokładnie, w pamięci wzroku zapisanych jasno, wyrasta nagle twarz kobieca, której na jawie nie ujrzał jeszcze nigdy, która była czemś przeraźliwie i groźnie nowem, a której rys każdy z największą wyrazistością rozbłysnął. Nad tą twarzą lśniła gęsta grzywa włosów, w wysoki węzeł upiętych, o zadziwiającej barwie niby lnu, niby najbledszego złota, przechodzącej w srebrne prawie połyski. Patrzyły z niej oczy o przezroczystym, jakby rozwodnionym blasku, załamującym się w kamiennie ostre iskry, jasnoszafirowe i szmaragdowe, migotliwe błędnem okrucieństwem. W owalu lic znaczył się brutalnie pod nizkiem czołem krótki, mały nos i krwawa plama ust, zastygła rozpaczliwym wyrzutem i niewysłowioną wzgardą.

Twarz ta zamajaczyła przed nim tak wyraźnym obrazem, że drgnął, podniósł w górę rękę zaciśniętą w pięść i otwartemi oczami rozglądnął się wokoło.

Przejrzysty płaszcz mroku nad pustkowiem pól, kępy drzew oblepionych ciemnością, w dali ogniki rozproszonych świateł.

— Takiej twarzy nie widziałem nigdy w życiu — powtórzył ze zdziwieniem. — Skąd ona? Rops malował podobne. Dziko ponure, szyderczo rozpustne. Coś mi się przyśniło...

Wzruszył ramionami.

W pamięci starannie zagrzebana, z niechęcią w najdalszy kąt wspomnień ciśnięta, wydziera się z nich chwila przed laty przeżyta.

Samotny powrót przez kręte, wązkie ulice. Na rogu dogasająca latarnia. Pod jej słupem ktoś przyczajony. Na szyję rzuca mu się jak zmora plugawym ciężarem. Ktoś bez twarzy. Tylko błysk noża trupi i oczy jak ten nóż. Oplot walki zadyszanej. Ohydny, obcy oddech zieje w twarz. Strąca z siebie napastnika silnem uderzeniem. Powala o ziemię, gniecie kolanem i bije. „On mógł mnie zabić". Bije, aż oczy zachodzą mgłą i spazm dławi za gardło. I ucieka szybko, coraz prędzej, jakby wstyd gonił go płomiennym biczem. Wstyd nad tym złoczyńcą, który chciał mordować, i wstyd nad sobą, że dech mordu przez moment drżał mu w piersiach.

Otrząsnął się ze wstrętem.

— Także mam o czem myśleć? Skądże się to wzięło? O tem myśleć nie chciałem już nigdy...

Samochód zaczął zwalniać pędu, zatrzymał się nagle, osiadł w miejscu pokornie, bezradnie.

Bronicz przegiął się ku szoferowi.

— Cóż tam znowu?

— Z tylnemi kołami niedobrze. Od kilku minut już słyszę.

Okutana futrem postać wyskoczyła rączo, nachylała się już, świecąc latarką. Ciche przekleństwo: — Obie opony trzasły! Te wściekłe kamyki na drodze!

— Aleśmy jechali! Było już osiemdziesiąt kilometrów na godzinę!—krzyknął tryumfalnie Józek.

— Podawaj narzędzia!—odburknął szofer opryskliwie.

— Pójdzie raz, dwa...! Nowe gumy w mig założymy! — zawołał chłopak wesoło.

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

1) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

PIERWSZE WSTRZĄŚNIENIE.

Była to sobota 10 go marca 1917. Około trzeciej po południu młodziutka panienka wyszła sama z domu, położonego przy ulicy Znamenskiej. Ta szeroka ulica, oślepiająco biała w jasnych blaskach zimowego słońca, przedstawiała niezwykły widok. Przechodniów było niewielu. Gromadki robotników szły zwolna ku Mikołajewskiemu placowi. Kobiety z ludu, z głowami otulonemi w wełniane szare chustki, ramujące im twarze, gapiły się, stojąc nieruchomo na chodnikach.

Panienka zauważyła, że jakiś owocarz zamykał zwolna okiennice swego sklepu. Długi szereg tramwajów zatrzymał się przed wylotem ulicy, kędy roiły się tłumy.

— Co się tam dzieje? — pomyślała Lydia — czy to znowu jakaś manifestacja na Newskim?

Jej świeża, dziecięca twarzyczka przybrała wyraz poważny. Ale nie mogła zachować go długo. Właściwy jej naturze uśmiech ukazał się znów na ustach o dolnej wardze nieco mięsistej, wyżłobił dwa dołeczki na policzkach zaróżowionych od mrozu i rozświetlił dwoje wielkich, błękitnych oczu, przejrzystych jak woda źródlana.

Panienka zapięła szczelnie kołnierz futerka i skierowała się ku placowi Mikołajewskiemu. W miarę jak się zbliżała, tłok stawał się coraz większym, aż o pięćdziesiąt kroków od placu musiała przystanąć. Wojsko zagradzało ulicę.

Żołnierze litewskiego pułku stali z bronią u nogi; słońce zapalało złote iskierki w bagnetach; oni zaś tupali po zlodowaciałym śniegu, aby się rozgrzać, a ich wysokie, baranie czapy, sterczące ponad zbitym tłumem manifestantów, kołysały się przytem rytmicznie.

Chwilami Lydja dostrzegała plac zatłoczony ludźmi, a u stóp pomnika, na którym ciężki Aleksander III-ci galopuje na jeszcze cięższym koniu, zobaczyła szereg policjantów, tworzących ciemną linję. Ujrzała również paru młodych oficerów, stojących przed wojskiem, i zastanowił ją smutek i powaga, malujące się na ich bladych twarzach.

Otaczające ją gromadki rozprawiały z ożywieniem. Tworzyli je wyłącznie robotnicy i studenci. Ci ostatni w czapkach na głowach gawędzili z robotnikami.

Lydja wmieszała się w jedną z tych grup. Młodziutki student o czarnych oczach i świeżych ustach, szczupły, delikatny, chorowity, przemawiał głośno, gorączkowo i ta gorączkowość nadawała jego słowom szczególne brzmienie. Było w nim coś szczerego i namiętnego, co podobało się Lydji. Wsunęła się pomiędzy dwóch robotników, żeby lepiej słyszeć.

Student mówił:

— Towarzysze! Wiecie, że jesteśmy z wami. Tak, z wami załatwimy nasze rachunki z rządem. Ale godzina nie nadeszła jeszcze... Prowadzimy wojnę... Poczekajcie jeszcze trochę...

W tejże chwili wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Lydji. Stała pochylona ku niemu i zrozumiał, że pochwalała to, co mówił. Ale zdumiewająca piękność tej młodziutkiej twarzyczki, przejrzystość oczu, w których odbijała się czystość duszy, zapał, jaki w nich czytał, tak go zdumiały, że umilkł jak olśniony.

Zawahał się chwilę, szukając słów. Ale gdy próbował nawiązać znów przerwany wątek myśli, uczynił się wielki ruch w tłumie. Żołnierze na krótki rozkaz postąpili o dwadzieścia kroków i w zamęcie cofających się ludzi gromadka, w której przemawiał młodziutki student, rozpierzchła się.

Lydja, spoważniawszy nagle, zawróciła z postanowieniem pójścia ulicami równoległemi do Newskiego. Jedno wyłączne pytanie zaprzątało jej umysł: „Czyżby robotnicy naprawdę chcieli rewolucji?"

Książkowe wspomnienia napełniły jej wyobraźnię. W piękny, letni dzień lud francuski zdobył Bastylię. Był to dzień chwały, mówiono, który powiódł francuskich żołnierzy jako zwycięzców przez całą Europę, aż pod Moskwę.

W 1905 r. w Rosji wybuchło to, co przyjaciele jej ojca, księcia Sergjusza Wołyńskiego nazywali rozruchami, ale co studenci nazywali rewolucją. Lydja nie przypominała sobie nic z tego. Miała wtedy pięć lat i jej życie pieszczonej jedynaczki nie uległo żadnej zmianie. Jednego wieczoru wszelako zabrakło elektryczności; położono ją spać przy świecach. Ona sama zapalała je tu i owdzie w swoim pokoju. Była to jakby wilja Bożego Narodzenia, i jedyne wspomnienie, jakie zachowała z rewolucji, było wspomnieniem święta.

Ale teraz...

Rewolucja podczas wojny — nie, to nie było możliwe. Nikt jej nie chciał, nawet ci dzielni robotnicy, tak dobrzy i uprzejmi w swej szorstkości, którzy przed chwilą osłaniali ją przed naporem tłumów. Jak ona czuła się przy nich dzieckiem tej samej rasy! Mieli ten sam sposób uśmiechania się i takie łagodne słowa.

— Mogą wpaść w gniew jak tatuś — myślała — ale to są poczciwi ludzie, niezdolni do niczego złego.

A potem pomyślała o potężnej policji piotrogrodzkiej i o wojsku, napełniającem koszary miasta. A zresztą nawet studenci byli za utrzymaniem porządku, tak, ci studenci, zawsze nurtowani nowemi prądami, nie chcieli rewolucji podczas wojny.

— Będzie trochę zamieszania — pomyślała — a potem wszystko wróci do porządku.

Ale pomimo wmawiania w siebie tych pocieszających myśli, serce miała ściśnięte, a głowa, którą zawsze trzymała lekko w tył odchyloną, z podanym naprzód podbródkiem, kłoniła się teraz ku chodnikom, oślizgłym od źle zamiecionego śniegu.

Wkrótce jednak ogarnęło ją uczucie silniejsze od niepokoju: ciekawość. Chciała widzieć, co się dzieje, chciała dotknąć jakby palcem tych olbrzymich mocy, które się kotłowały tam, na ulicach dokoła niej, popatrzeć na te twarze, posłuchać tych słów, odgadnąć, co mówiły błyski tych oczu.

Przyspieszyła kroku, aby dojść Litejnym na Newski Prospekt, ale na rogu Litejnego zatrzymał ją tłum. Robotnicy wracali zwolna do dzielnicy Wyborskiej po drugiej stronie rzeki.

Spróbowała iść przeciw prądowi. Wysoki robotnik w tułubie i futrzanej czapce zatrzymał ją i rzekł łagodnie:

— Nie trzeba tam iść, gołąbeczko. Tam się zrobi kasza.

Uśmiechnął się i przeszedł.

Lydja schroniła się w zagłębienie bramy. Czterech młodych robotników mijało ją, rozprawiając. Podążyła za nimi, aby się przysłuchać, co mówią.

— Widziałeś, Wasyl — rzekł najmniejszy, którego oczy błyszczały radością — oficer zakomenderował „Naprzód", ale kozacy nie poszli za

nim. Skoro kozacy są z nami, to dobra nasza.

Lydja zamyślona minęła kanał Fontanki, przeszła Italjańską na ulicę Michałowską i posuwając się wzdłuż hotelu Europejskiego, próbowała raz jeszcze dostać się na Newski Prospekt.

Kozacy galopowali lekko po chodnikach, wstrzymując swoje rącze koniki. Byli to wszyscy młodzi chłopcy, jasnowłosi, uśmiechnięci, pilnie zważający, aby nie potrącać przechodniów, z którymi zamieniali dobrotliwe słowa.

I znowu Lydja poczuła się pełną otuchy. Wszystko to wyglądało na paradę świąteczną. Nie widać było nienawiści na żadnej twarzy. Ani cień nieporozumienia nie zdawał się istnieć pomiędzy tymi wesołymi kozakami a robotnikami, z którymi przed niedawną chwilą rozmawiała.

— Tak; wszystko się ułoży, dzięki Bogu, a na jesień wygramy wojnę— pomyślała i zdziwiła się, uczuwszy, że oczy jej pełne są łez i że czuje się wzruszoną do głębi. Widocznie atmosfera, w której żyła od godziny, zdenerwowała ją bardziej niż mogła przypuścić.

— Wygramy wojnę — powtórzyła z mocą.

W chwili, gdy wymawiała te słowa, usłyszała nagle karabinowy strzał, a w ślad za nim jakby deszcz suchych trzasków, rozdzierających tragicznie zlodowaciałe powietrze. Potem nastąpiło wielkie milczenie i wnet otoczyła ją nawała uciekających tłumów. Szalony ten prąd uniósł ją z ziemi i porwał ze sobą; a gdy po niejakiejś chwili umocniła się znowu trochę na nogach, pobiegła ze wszystkich sił, popychana w prawo, w lewo, z tyłu w stronę placu Michałowskiego. Jedyną jej myślą było, żeby nie upaść.

Traciła samopoczucie, obezwładnił ją strach, który ogarnął duszę wszystkich świadków i aktorów tej sceny. Biegnąc, patrzyła, czy nie dojrzy gdzie jakiej bramy lub sklepu, gdzie by się mogła schronić.

Ale w jednej chwili wszystkie bramy i drzwi pozamykały się. Nigdzie nie było ratunku. Na jezdni izwoszczykowie okładali konie i sanki fruwały po śniegu. Jakiś wysoki, dworski stangret, powożący landem o herbach cesarskich, zgubił kapelusz. Na rogu placu zbyt ostro skręcające sanki wywróciły się.

W szalonej ucieczce Lydja zachowywała jeszcze pewną świadomość. Porównywała się do ziarnka piasku, które wiatr unosi wskroś pustyni. Widziała też wszystko i zauważyła o kilka kroków przed sobą mężczyznę w pięknem futrze, który— jakimś cudem? — stał nieruchomo.

Był bardzo wysoki, barczysty i zdawało się, że nic go poruszyć nie zdoła. Stał jak posąg, podczas gdy koło niego tłum płynął roztrącając się gwałtownie, jak wody spienionego nurtu dokoła skały. Lydja ujrzała go takim przez jedno mgnienie oka; gwałtowne uderzenie w plecy wytrąciło ją z równowagi, postąpiła jeszcze parę kroków, nie mogąc jej odzyskać, i runęła u stóp mężczyzny, który stał nieruchomy.

Momentalnie straciła przytomność, a gdy ją odzyskała, uczuła, że ją opasuje ramię mężczyzny w futrze. Drugą ręką otrzepywał śnieg z jej płaszczyka. Gdy skończył, zwrócił ku niej głowę. Zobaczyła twarz mężczyzny przeszło czterdziestoletniego; twarz męską, dobrze zarysowaną, o ustach poważnych, ocienionych krótko przystrzyżonym wąsikiem. Oczy były szare i surowe. Ale gdy spojrzał na Lydję, rozjaśniły się wnet. Ona zaś uczuła się przy nim zupełnie bezpieczną; strach opuścił ją nagle. Człowiek ten sprawiał wrażenie siły spokojnej, pewnej siebie.

Popatrzył na Lydję badawczo i rzekł dźwięcznym głosem:

— Nie zrobiłaś sobie co złego, moje dziecko?

— Ależ nie — odpowiedziała z półuśmiechem — nie wiem, jak się to stało. Co za niedorzeczność.

— Istotnie; niedorzecznością jest, żeby takie młodziutkie dziewczątko znalazło się tu samo. Skąd się tu wzięłaś? Co ci przyszło do główki?

Łajał ją łagodnie, trzymając ją wciąż tuż przy sobie. Ale ona wyprostowała się nagle. Przykro było porzucać to opiekuńcze ramię, w którego objęciu czuła się jakby w jakimś zaczarowanym świecie. A przytem odgadywała, że sama nie zdobędzie się już na odwagę. Ale trudno. Tak było trzeba. Wysunęła się więc i uśmiechnęła z tym nieprzepartym czarem, jakim tchnęła jej twarzyczka panny już dorosłej, a przecież jeszcze dziecka.

— Jak mam panu podziękować — rzekła.— Gdyby nie pan, roztratowaliby mnie ci szaleńcy.

Teraz dopiero zauważyła, że byli sami, zupełnie sami na ulicy. Tłum rozpierzchł się niewiadomo gdzie. Nawet wywrócone sanki zniknęły. W dali widać było Newski Prospekt pusty przed drewnianą kaplicą. Ale dwa szeregi żołnierzy stały pomiędzy Gościnnym Dworem a narożnym domem Michałowskiej ulicy.

Nagle sanki powożone przez małego izwoszczyka, skurczonego na koźle, ukazały się w alei i powolnym truchtem zmęczonego konia skierowały się ku wojsku. W sankach leżał student; krew płynęła mu z rękawa, a pochylona nad nim młoda kobieta tamowała ją chustką do nosa.

Sanki zbliżyły się do żołnierzy, którzy ani drgnęli. Wówczas młoda kobieta wstała, wymachując zakrwawioną chustką.

— Coście uczynili, bracia?—zawołała na cały głos. — Strzelacie do swoich!

Szeregi zachwiały się, rozwarły; sanki przejechały pomiędzy nimi i znikły.

Ta tragiczna scena wzruszyła Lydję. Zwróciła się do swego towarzysza. Ale nie mogła wyczytać nic z jego twarzy, która jakby stężała. Lydja spojrzała na niego pytająco.

— Czas już iść—rzekł smutnym głosem. Czy mogę być w czem pomocnym pani? Gdzie pani mieszka?

Głos jego dźwięczał już inaczej, niż poprzednio. Odczuła to i odpowiedziała nieśmiało:

— Na Pałacowym Bulwarze. Ale mogę wrócić Millionową. Tam jest przejście. I — ciągnęła dalej nieco zmięszana — pójdę bezpiecznie sama.

Za całą odpowiedź wziął ją pod rękę i skierowali się ku niezbyt oddalonej Millionowej. Ulice były puste; spokój panował zupełny. Lydji wydało się, że to była jakaś senna zmora. Bolała ją lewa noga i utykała trochę, ale starała się nie pokazywać tego. Szli w milczeniu. Doszedłszy do rogu Millionowej, on przystanął i pochylił się ku niej.

— Odejdę teraz — rzekł. — Niema żadnego niebezpieczeństwa. A ja muszę wracać do moich sanek przed hotelem Europejskim i jechać do Dumy.

Mówił krótko, bez wyjaśnień, ale głos jego miał znów to coś pieszczotliwego w dźwięku, co Lydja zauważyła, gdy odezwał się do niej po raz pierwszy. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nie chciało jej się rozstawać w ten sposób z tym kilkuminutowym przyjacielem. Przyjacielem? Przed pół godziną nie znała go jeszcze. Ale wszak przyjacielem jest ten, na kim oprzeć się można i kto się nami zaopiekuje. Przyjęła więc w myśli tę nazwę i spojrzała na swego towarzysza.

— Zobaczymy się jeszcze — rzekła.

— Daj Boże — odpowiedział.

Skłonił się przed nią, silnie uścisnął jej rękę i zniknął.

Dalszy ciąg nastąpi.